



Mirosław Derecki

DELEGAT

Zostałem przez załogę WSK Świdnik wybrany delegatem na VI Zjazd Partii. Pyta pan, jak do tego doszło? Zaraz opowiem.

Mnie się wydaje, że najpierw należałoby się cofnąć o jakieś dwadzieścia lat wstecz, kiedy postanowiłem wyemigrować z rodzinnej wioski. Albo jeszcze bardziej, do momentu, kiedy jako całkiem mały chłopak zachwyciłem się robotą jednego mechanika z młyna. W naszej wiosce, w Księżomierzu pod Kraśnikiem, był młyn parowy. Nie bardzo był on dla mojej rodziny przydatny, bo ojciec choć z dziada pradziada na wsi mieszkał, ziemi własnej nie posiadał - więc mlec w młynie nie było co - a trudnił się malarstwem pokojowym i fotografią. Miał własny, wiejski zakład fotograficzny. Pamiętam wielki, drewniany aparat na trójnogu, czarną, sukienną „nogawicę” zwisającą z boku pudła i rzędy szklanych klisz suszących się na słońcu, za stodołą. Tak. Zakład Bonifacego Łojka znano w okolicy i dlatego też był u nas w domu zawsze ruch - a to zdjęcia ślubne, a to jak chłopaki do wojska szli lub na przepustkę przyjeżdżali, lub też indywidualne, do paszportów, ojciec zdjęcia wykonywał. Było nas dwóch synów - starszy, Wiesław, który potem także malarzem został i ja, Zygmunt, lat temu trzydzieści sześć urodzony.

No, ale wróćmy do tego młyna. Otóż ja potrafiłem całymi godzinami kręcić się w pobliżu, nasłuchiwać jak dudni maszyna, a czasem udało mi się zajrzeć do wnętrza i przyjrzeć się, jak mechanik, starszy facet, w wysmarowanym olejem kombinezonie, przestawia jakieś dźwignie, zwiększa albo zmniejsza obroty, puszcza parę, no, w ogóle wykonuje szereg niesłychanie interesujących czynności, bardzo tajemniczych i bardzo mądrych. Dzisiaj takie zafascynowanie może się komuś wydać śmieszne, a moje opowiadanie trochę naciągane. Ale trzeba sobie uzmysłwić, że wszystko to działo się lat temu dwadzieścia pięć i technika wszelka nie była na wsi rzeczą zwyczajną.

Starszemu bratu, Wieškowi, marzyła się praca na własnej gospodarce. A ja - nic tylko myślałem i myślałem o tym mechaniku i tych maszynach i coraz bardziej mi to wszystko piękniało.

Więc jak skończyłem siedem klas w Książomierzu - nie, mówię w domu - tylko gdzieś do maszyn, do techniki, do przemysłu chcę iść. Ojciec mądry - nie zatrzymywał. Mając lat piętnaście wyjechałem do szkoły zawodowej na Śląsk. Miasto było przemysłowe, hutnicze, nazywało się tak jak i huta, która mu nadawała charakter - Łabędy. W internacie było nas stu pięćdziesięciu chłopaków, zbieranina z całej Polski, różne gwary, różne pochodzenie i obyczaje, a najwięcej było warszawiaków i oni zaraz zaczęli rej wodzić.

Żyło nam się różnie. Warunki nie powiem, żeby były najlepsze, nawet dla nas, chłopaków ze wsi, którzy przecież do komfortu nie byli specjalnie przyzwyczajeni. Mieszkaliśmy w drewnianych barakach, w dużych salach, na piętrowych łózkach, po szesnastu. Warunki sanitarne - fatalne. Świetlicy, radiodbiorników, telewizorów - ani słychu ani widu. Ale mnie i tak się podobało. Bo dla mnie, chłopaka za wsi, wszystko było tutaj nowe. Nawet taka głupia rzecz - węgiel kamienny. Proszę sobie wyobrazić, że ja dopiero po przyjeździe do internatu pierwszy raz w życiu zobaczyłem - na portierni - pice opalany węglem. Bo nawet we młynie w Książomierzu paliło się w owych czasach grubymi polanami drewna. I tutaj taka mała dygresja: tak się ten widok, ten zapach węglowego pieca wrył w moją pamięć, że jeszcze dzisiaj, jak przypadkiem zaleci mnie swad węglowego dymu, przypominam sobie dawne czasy w Łabędach i to moje pierwsze wejście do portierni. Tak. Stare dzieje. Do miasta chodziliśmy grupami po kilkunastu na przepustki - jak w wojsku - i nie obyło się przy tym nieraz bez bójki z miejscowymi chłopakami o panny, o miejsce na ławce w parku, o miejsca w kolejce do kina. Nasi warszawiacy lubili przewodzić, być w każdej sytuacji górą, a myśmy już, chcąc nie chcąc, szli za nimi, jako że - koledzy.

Ale Łabędy - jak mówiłem - to przede wszystkim huta. I oczywiście nasza praca w tej hucie. Uczyłem się na tokarza. Pamiętam pierwsze wejście do hall, gdzie stały obrabiarki. Zatkano mnie wtedy. Tyle maszyn. Dźwigni. Guzików. Przycisków. Kurków. Jak ci ludzie potrafią nacisnąć akurat to, co potrzeba? Byłem bardzo przejęty i wystraszony zarazem. Czy ja się kiedykolwiek w tym wszystkim rozeznam?

Pierwszy tokarz, u którego „terminowałem” nazywał się Kita. Starszy już facet, Ślązak. Z początku wydał mi się ponury jakiś. Jakby miał żal do mnie, że żyję, że istnieję, że mu przeszkadzam. „Posprzątaj przy maszynie, przenieś, wynieś, ręce przy sobie, stój, przyglądaj się, nie pchaj się do maszyny – to nie dla ciebie” i tak dalej i tak dalej. Myślałem – zawistny czy co? A on mnie tylko obserwował. Aż pewnego dnia powiada nagle: „stawaj na stanowisku, bierz się do ucziwej roboty. Tak sobie pomyślałem pierunie, że może uda mi się z ciebie zrobić człowieka”. To był dobry fachowiec ten Kita. Złota rączka – jak powiadają, ale nie tylko. Ostrożny przy robocie. Nam się nieraz zdawało, że aż do przesady ostrożny, że to jakiś jego bzik albo co... A teraz myślę, że miał rację. On w nas „od urodzenia” wpajał

żelazną dyscyplinę, jeśli chodzi o sprawy bezpieczeństwa przy pracy. Ja to już teraz mam we krwi, choć minęło dwadzieścia lat, a Kita dawno na emeryturze albo i w grobie. A u nas jeszcze dzisiaj ciągle za mało się o tym mówi młodym ludziom i potem wszyscy się dziwią, że są wypadki.

No cóż, szkoła się skończyła, egzamin się zdało. Świadczenie w kieszeni. Przyjechali „kupy” werbować nas do pracy po całym kraju. Spora grupa chłopaków zdecydowała się jechać do Świdnika. A byt to rok 1952. „Świdnik - mówią nam ci „kupy” - to przedmieście Lublina, Lublin - mówią - to przedpole Warszawy. Ze Świdnika do Lublina jeździ pociąg elektryczny. Komfortowe warunki pracy, eleganckie, nowoczesne hotele robotnicze. W ogóle miasto młode, socjalistyczne”. Dlaczego zostawać na Śląsku, jak tam taki raj? I w dodatku do domu niedaleko. Pojechałem.

Nie był to raj obiecany. Świdnik dopiero się rozkręcał, pierwsze bloki stały w błocie, nie było kina, rozrywek, a już na przykład koleje elektryczne...!?

Zakwaterowanie dostaliśmy na Podzamczu, koło stacji kolejowej Minkowice, w starym budynku dworskim. Znowu mieszkaliśmy skoszarowani jak w internacie w Łabędach. Do Świdnika było kilka kilometrów, a pociągi kursowały z wielkimi opóźnieniami i nie jeden raz odwaliłem te kilometry na piechotę. Znowu zebrała się tutaj młodzież z różnych środowisk, z całego kraju i nie zawsze najlepsza. Bywało tak, że część jechała rano do pracy, a część do Lublina szlifować bruki albo chuliganić. Ci się zresztą dość szybko wykruszyli.

Dostałam pracę jako tokarz z III grupą zaszeregowania, robiliśmy głównie oprzyrządowania. W 1953 roku - zmiana na lepsze. Oddano do użytku hotel robotniczy - „Jedenastkę” z 2, 3 i 4-osobowymi pokojami, z centralnym ogrzewaniem i łazienkami. Zamieszkałam w tym hotelu.

Przy torach, w baraku zwanym „Jedynką”, mieszkwały dziewczęta. Została tam też otwarta świetlica, wstawiono adapter, zorganizowano wieczorki taneczne. Ruszyło kino „Iskra”. Stało się w kolejce po bilety nieraz kilka godzin, bo ludzie w Świdniku coraz bardziej przybywało, ale była satysfakcja, że jest własne kino, że nie trzeba po nocy tłuc się pociągiem z Lublina.

Zaczęliśmy się powoli dorabiać. Pensja szła, o mieszkaniu spółdzielczym ani o samochodzie jeszcze wtedy nikt ani myślał, więc zaczęliśmy się stosować do wymogów mody. Najpierw wszyscy nosili garnitury granatowe w białe prążki. Potem znowu największy fason był taki: marynarka samodziałowa, obszerna, kaszkiet usztywniony z tyłu gazetą, buty „piętrowe”, robione na zamówienie u prywatnych szewców po tysiąc złotych para...

Byłam wtedy przewodniczącym koła ZMP. Wyszedł apel do młodzieży, żeby zaciągała się do państwowych gospodarstw rolnych, które znajdują się w krytycznej sytuacji. Nie wiem,

czy słabo nas agitowano, czy były jakieś inne przyczyny, dość że z całego zakładu zgłosiło się na ten apel tylko dwóch ludzi. Kolega Bryzek i ja. Pojechaliśmy do PGR Machnów i tam, już niemal tradycyjnie, weszliśmy w skład dużej grupy młodzieży przybyłej z różnych zakątków Polski. Myśmy z Bryzkiem pracowali jako mechanicy w pegeerowskich warsztatach. W Machnowie było koło ZMP i znowu tutaj zostałam przewodniczącym. Robiliśmy z Bryzkiem robotę polityczną, pracowaliśmy najlepiej jak potrafiliśmy, ale przyznam się, że jak spojrziałem na to błoto, które nas otaczało, to niejednym razem - co tu ukrywać - pomyślałem sobie: „czy nie lepiej było żyć spokojnie w Świdniku...?”. Ale - ambicja nie pozwalała wracać. Taką już mam naturę, że trudno mi jest wycofywać się. Później polubiliśmy Machnów. Miałem satysfakcję ze swojej pracy, bo wydelegowano mnie wtedy na Festiwal Młodzieży do Warszawy.

A potem... założyliśmy w Machnowie zespół teatralny. Prowadził go niejaki Towbin, personalny z działu kadr. W jednym przedstawieniu zagrałem rolę inżyniera elektryka. Nie pamiętam już tytułu sztuki, tylko tyle, że było to coś na temat elektryfikacji rolnictwa i że na wojewódzkim przeglądzie teatrów amatorskich w Domu Kolejarza w Lublinie zajęliśmy pierwsze miejsce.

Przyszedł czas na służbę wojskową. Trafiłem do szkoły podoficerskiej wojsk inżynierskich.

I znowu jestem przewodniczącym koła ZMP. Jeżdżę z kolegami po wsiach i prowadzimy kampanię w związku z wyborami do Sejmu i rad narodowych. Musiałem się chyba spisywać nie najgorzej, skoro później dostałem podziękowanie od ministra obrony narodowej.

W 1957 roku wróciłem do Świdnika. Praca - tokarz z VI grupą na wydziale motocyklowym. No, to już nie był ten sam Świdnik, co dawniej. Bloki, ulice asfaltowe. I sam zakład znacznie się rozbudował. Inne warunki, inna organizacja pracy. Szła produkcja motocykla dużymi partiami. Zamieszkałem w wygodnym hotelu robotniczym, ale też bardzo szybko zaczęły się problemy mieszkaniowe. Dlaczego? Otóż ożeniłem się, a potem na świat przyszło pierwsze dziecko, córka. A na takie układy to już zakład nie był należycie przygotowany. Nie mogłem dziecka oddać do żłobka – nie było miejsca. Przez pewien czas gnieździliśmy się z żoną, dzieckiem i jeszcze jednym moim kolegą na dodatek, w jednym pokoju. Pracowałem wtedy tylko na 2 i 3 zmianę, bo w czasie nieobecności żony ktoś musiał się dzieckiem zajmować. Raz, bawiąc się z córką na podłodze, sam nie wiem kiedy przewróciłem się i zasnąłem ze zmęczenia. I córeczka po pewnym czasie położyła się obok mnie i zasnęła również. Tak nas oboje na podłodze zastała żona po przyjeździe z pracy...

Kiedy przeszedłem do Działu Postępu Technicznego, który przekształcił się następnie w Dział Prototypów Motocykla - a tam już wymagano od pracownika nie byle jakiej znajomości pracy - zrobiłem kurs mistrzowski. Dostałem VIII grupę zaszeregowania, potem najwyższą, dziewiątą...

Mówię o domu, o pracy w zakładzie, a nic jakoś o pracy społecznej, organizacyjnej. Trzeba szczerze powiedzieć, że jako młody człowiek, dopiero wstępujący w życie, wkładałem w tą procę dużo serca, dużo wiary. Bardzo dużo wiary. Po październiku, po rozwiązaniu ZMP, spłynęła na mnie jakaś fala rozgoryczenia. Jakoś trudno mi było znowu, natychmiast, aktywnie...

Jestem z natury pracowity. Majster Kita nauczył mnie kiedyś dokładności i odpowiedzialności za to, co robię. Bez fałszywego wstydu powiem więc, że w zakładzie ceniono mnie. Raz i drugi zaproponowano mi wstąpienie do partii. Nie odmawiałem, ale twierdziłem, że muszę się zastanowić. Dokładnie poznać politykę partii. Sporo spraw przemysleć. Stałem z boku, przyglądałem się.

Do partii wstąpiłem w roku 1963. Po roku zostałem członkiem egzekutywy oddziałowej organizacji partyjnej, później, w czasie, jednej kadencji, II i I sekretarzem OOP, w następnych wyborach wybrano mnie na II sekretarza podstawowej organizacji partyjnej, a w ostatnich wyborach - członkiem egzekutywy Komitetu Zakładowego PZPR. Sprawuje też funkcję zastępcy członka KW PZPR, jestem członkiem Komisji Ekonomicznej KW w Lublinie.

Nie lubię zastojów życiowych. Jakoś nie mogłem pogodzić się z myślą, że nawet odpowiedzialne stanowisko mistrza tokarskiego w Zakładzie Doświadczalnym WSK, to jednak równocześnie szczyt moich możliwości zawodowych. Zapisalem się do technikum zaocznego w Lublinie. Do zaocznego, bo praca społeczna nie pozwalała na systematyczną naukę w technikum wieczorowym w Świdniku. W określonym dniu braliśmy z kolegą teczkę pod pachy, siadaliśmy na jego motor i jechaliśmy do Lublina na konsultacje. Byłem już na V semestrze, klady przydarzyło mi się nieszczęście. Na nas, jadących jak zwykle motorem do Lublina, wpadła we mgle Warszawa. Zostałem wyrzucony z siodełka, wgnieciony między skrzynie „żubra” a przedni zderzak „Warszawy”. Miałem złamanych pięć ceber, powikłania i komplikacje pourazowe. Pół roku byłem na zwolnieniu lekarskim. „Zyskałem” 30 proc. inwalidztwa i zawałem jeden semestr w technikum. Na szczęście już mogę pracować i mogłem też wrócić do przerwanej nauki.

Wybrano mnie delegatem na VI Zjazd... To jest satysfakcja. To są obowiązki i odpowiedzialność. To są problemy, które roztrząsa się w zakładzie podczas zebrań i podczas prywatnych spotkań, z kolegami i które trzeba będzie niedługo przedstawić na forum zjazdowym... Powiem panu o kilku, najbardziej u nas dyskutowanych.

Wiemy dobrze, że w wielu krajach uległa zatarciu różnica pomiędzy pracownikiem fizycznym a umysłowymi. U nas takie rozgraniczenie jeszcze istnieje. Chociażby taka sprawa zasiłku chorobowego. Dlaczego pracownik umysłowy otrzymuje 100 proc wynagrodzenia, a fizyczny tylko 70 proc.? Czy on jest czymś gorszym od umysłowego? Czy mniej wydajnie pracuje?

Albo rzecz inna: kończy młody człowiek szkołę zawodową, kurs mistrzowski, osiąga tę swoją IX grupą i jeżeli nie ma zamiaru iść do technikum, to na przykład w wieku trzydziestu lat osiągnął górny pułap możliwości zawodowych. Mnie się wydaje, że warto rozważyć w przyszłości możliwość wprowadzenia dodatku za wysługę lat. To by przecież dało dużą stabilizację kadry. Co ma wiązać takiego człowieka z zakładem pracy? Sentyment do przepracowanych tutaj lat? To na pewno dużo, ale nie wszystko.

Dalej: dyskutuje się na temat skrócenia czasu pracy. Czy nie można by było zacząć realizowania tej sprawy nie na szczeblu ministerstw czy zjednoczeń, ale poszczególnych zakładów pracy, w niektórych wypadkach - samych nawet tylko wydziałów? Powiedzieć na wydziale: „Jeżeli tak ułożycie sobie prace, że plan tygodniowy wykonacie w pięć dni, że nie ucierpi na tym tok pracy zakładu, to proszę bardzo, pracujcie od poniedziałku do piątku”. Czy nie byłby to dobry przykład, bodziec dla innych wydziałów, dla wyzwalań inicjatywy, wzrostu wydajności pracy?

Świdnik... Kawał przepracowanego życia. Czasem, jak z żoną i dziećmi wyjdziemy na spacer, a wspominamy dawne czasy - dla naszych dzieci są to już czasy zamierzchłe - naszego tutaj „pionierskiego” okresu, czujemy się trochę jakby wyjęci z historii... Może zabawne uczucie, jednak prawdziwe. Ale częściej nachodzi mnie inne uczucie: satysfakcji, Nawet pewnego rodzaju dumy. Że właściwie od zera, bez żadnej pomocy ze strony rodziny, potrafiliśmy sobie oboje wypracować to, co posiadamy.

Pierwodruk: „Kamena”, 1971, nr 23, s. 1,8-9.